

Jestem zakładnikiem i więźniem teatru

W filmie „Czarny czwartek” zagra samą siebie. O tym, dlaczego przyjmuje epizodyczne role, a dlaczego odmówiła reżyserom niemieckim i francuskim **Krystyna Janda** opowiada **Ryszardzie Wojciechowskiej**

Kiedy Antoni Krauze zadzwonił z propozycją epizodu w „Czarnym czwartku”, nie przyszło Pani na myśl, żeby odmówić? Bo jak to, wybitna aktorka, a w epizodycznej roli?

Ani przez chwilę tak nie myślałam. Przy tym temacie nie ma znaczenia, czy gra się epizod, czy większą rolę. Ważne, żeby przy tym być. Żeby się w tej historii znaleźć. Zaproszenie do tego filmu jest tylko i wyłącznie wyróżnieniem.

Kiedy się Pani dowiedziała o tym, co się wydarzyło w Gdańsku i Gdyni w 70 roku? Dokładnie w tym momencie, kiedy to się stało. Byłam wtedy na pierwszym roku w szkole teatralnej. Miałam 18 lat. Ale pamiętam, że już rozumiałam, że wydarzyło się coś, co będzie miało brzemiennie skutki. Czulałam, że to może zaważyć także na moim życiu, że jako aktorka będę miała z tym związek. Potem zwróciłam uwagę na to, że po Grudniu '70 nastąpiły pewne zmiany w polityce, cenzurze. Że trochę innym językiem zaczyna mówić telewizja. Ale na krótko.

Reżyser Antoni Krauze powiedział, że epizod z Pani udziałem jest hołdem dla „Człowieka z żelaza”, w którym pojawił się temat Grudnia '70. Właściwie tylko zamarkowany, ale wtedy nie można było inaczej. Jak się grało w „Człowieku z żelaza”?

Trudno. Ale nie tylko dlatego że dotykaliśmy takiej historii. Grało się ciężko także z tego powodu, że nie mieliśmy żadnych środków do zrealizowania tego filmu. Nie było czołgów ani mundurów. Dymy to jedyna rzecz, jaką dysponowaliśmy. Pamiętam, jak z Jurkiem Radziwiłowiczem kręciliśmy scenę w pociągu, z którego mieliśmy rozrzucić ulotki. Ekipa filmowała tylko odjazd i nas, wychylających się z okna i wyrzucających ulotki. Kiedy pociąg ruszył, zostaliśmy z Jurkiem sami. I nie byliśmy pewni, czy nie zostaniemy aresztowani między stacjami. Takie ujęcia kręciliśmy na ryzyko własne i filmu. Nikt nam nie gwarantował wówczas zamknięcia ulic na czas zdjęć. I to było trudne. Ale jakoś się udało. Mam nadzieję, że widzowie nie czują, że wszystko to było tworzone tak minimalnymi, z konieczności, środkami.

W „Czarnym czwartku” gra Pani właściwie siebie.

Zagrałam już siebie u Julka Machulskiego. Uczylałam wtedy młodą aktorkę, jak... być aktorką. Taki filmowy żart („Superprodukcja” – dop. aut.). A dziś? Jest mi bardzo miło, że moja twarz ma przypomnieć to, co pokazano w polskim filmie o Grudniu.

Nie żał, że ten film powstaje teraz? Mógł wcześniej. Mógł. Ale myślę, że dopiero dziś jest szansa, żeby on rozwinął skrzydła. Jeszcze dziesięć lat temu byłibyśmy bardziej ostrożni w dotykaniu tego problemu. Dziś więcej wiemy. Odkrywamy więcej dokumentów. Coraz więcej osób mówi na ten temat. Ta historia kompletuje się dopiero teraz.

Pani synowie pójdą na ten film?

Myślę, że tak.

Co oni wiedzą o Grudniu? Oni się już o tym uczyli w szkole.

Dla młodych ludzi masakra grudniowa jest jak wirtualny świat.

Pamiętam wrażenia moich synów po obejrzeniu „Przesłuchania”. I to, jak nie byli w stanie uwierzyć, że taka opowieść może być w jakimkolwiek stopniu prawdziwa. Szczęśliwie dzieci i ludzie, którzy się urodzili po tych wydarzeniach. Takie filmy jak „Czarny czwartek” kręcimy, żeby nie zapominać o tym, co się stało. Pamiętać o tych, którzy zginęli po to, żeby dziś mogło być tak, jak jest. Jako memento mori, które nam przypomina, że odległość między tym, co było, a tym co obecne, jest niewielka.

Dzisiaj młodzi ludzie nie są zainteresowani przeszłością swoich rodziców. Wolą patrzeć w przyszłość.

Liczyłam na to, że moja scena da mi wolność. Że pozwoli opowiadać ludziom historii, które przypominają losy naszego kraju



FOT. MARCIN SOBWA

Trudno się temu dziwić i oczekiwać od nich, żeby żyli naszym czasem. Oni mają zupełnie inne problemy. A to z czym im się przychodzi zmierzyć, wcale nie jest proste. Ta gmatwanina obowiązków i możliwości jednocześnie. Trudno im się w tym wszystkim rozeznać. Moi dwaj synowie są właściwie na zakręcie życiowym. Mają prawie po 20 lat. I widzę ich problemy. I ten ich skomplikowany świat. Ale szczęśliwie nie muszą się zmagać z problemami naszej młodości.

Pani ma szczęście do ról w filmach, które są krokami młodymi polskiego kina. Najpierw „Człowiek z marmuru”, potem „Człowiek z żelaza”, „Przesłuchanie”, a niedawno „Rewers”. Nie czuje Pani niedosytu, że „Rewers” nie otrzymał nominacji do Oscara? Dlaczego w latach siedemdziesiątych nominacje nam się zdarzały, a teraz nie? Myślę, że w latach siedemdziesiątych z konieczności robiliśmy filmy bardziej uniwersalne. Cenzura wymuszała na nas ogólniki. A „Rewers” jest filmem specyficznym. Myślę, że mogłoby być niezrozumiałe do końca gdzie indziej. To

tylko my czujemy ten niuans. To skrzywienie i ta ironia są przede wszystkim dla nas zrozumiałe. Tylko my to czujemy, ponieważ znamy wszystkie filmy o tamtym czasie, nakręcone bez tego krzywego uśmiechu. Na świecie tego nie docenią. Zresztą wśród nas są ludzie, którzy uważają, że „Rewers”, który opowiada o stalinowskich czasach, powstał dużo za wcześniej. Oni są tym filmem dotknięci, i to boleśnie.

Nie ma tygodnia, żeby w telewizji nie pokazywano jakiegos filmu z Pani udziałem.

Chyba nie ma nawet dnia (śmieje się). Wiem to, ponieważ śledzę programy telewizyjne z konieczności i mam od tego zawrót głowy. Ale ta liczba filmów to nie moja zasługa, tylko kanałów telewizyjnych, które powstają.

Zdarza się Pani coś obejrzeć z dawnych lat? Popatrzeć na siebie?

Czasami przy retrospektywach spojrzę na coś. Ale rzadko. Wiem, że pojawiają się filmy, których nie widziałam od ponad dwudziestu lat. Z pewną przyjemnością nawet myślę o tym, że pewnie ich

nigdy już nie zobaczę, bo nie mam na to czasu. Nie lubię się oglądać za siebie. Z radością za to obserwuję, jak rośnie liczba młodych ludzi, którzy odkrywają to, co się działo w polskiej kinematografii. I ten entuzjazm, z jakim o tym piszą na mojej stronie internetowej. I to że odkrywają te swoje filmowe eureka. Widzę, jak po kolejnej powtórcie „Człowieka...”, „Przesłuchania” czy „Modrzezewskiej” pojawia się nowa grupa młodych, która z pewnym zachwytem pisze – ach, to nieprawdopodobne.

Czy po tylu rolach, nagrodach jest coś, o czym się jeszcze w zawodzie marzy?

Moje marzenia są bardzo pragmatyczne. Niedawno otworzyłam nową scenę teatralną. To już są dwa teatry w fundacji, którą założyłam i prowadzę. Liczyłam na to, że moja scena da mi wolność. Że pozwoli opowiadać ludziom historie, które przypominają losy naszego kraju. Bo ja zwracam uwagę na tematy społeczne. Uważam, że teatr może być czasem szybszy niż gazeta. Że publicystyka w teatrze świetnie się sprawdza. I staram się szukać też takich tekstów.

Wiązałam z moim teatrem wielkie nadzieje, które się teraz spełniają. Mam pełne ręce roboty. W tej chwili, co wieczór, jest do sprzedania około siedemset miejsc. To naprawdę duża widownia. A moim obowiązkiem jest dbanie nie tylko o to, żeby te miejsca były zapewnione, ale także o to żeby ludzie, którzy przychodzą do teatru z nadzieją, nie wychodzili z niczym albo z czymś niepotrzebnym, co jest im całkowicie nie po drodze. I jeżeli mam jakiegokolwiek jeszcze marzenie, to takie, żeby to trwało. Ten stan, który mnie bardzo zajął, meblowanie tej sceny w tematy i współczesne problemy. Bo to niezwyczajne zadanie.

Zastanawiam się, co Pani daje cały czas taki napęd do pracy? To Marek Kondrat nazwał Panią gwiazdą z turbodoładowaniem.

Nigdy nie uprawiałam tego zawodu biernie ani nieświadomie. Zawsze wiedziałam, dlaczego przyjmuję jakąś rolę i co chcę przez nią powiedzieć. Staralam się być najbliższym i partnerskim współpracownikiem reżysera. A potem sama zaczęłam reżyserować. Takie podejście do pracy daje napęd. Ma to jakiś sens. Nigdy nie czekałam na propozycje, leżąc na leżaku. Między scenami nie szłam odpoczywać do swojej garderoby. Zawsze interesowało mnie to, co się dzieje wtedy, kiedy mnie nie ma na planie, kiedy nie gram.

Jakaś nowa propozycja filmowa urodziła się?

Dostałam w tej chwili trzy propozycje zagraniczne, z Francji i Niemiec. Muszę jednak odmówić.

Dlaczego?

Z powodu mojego teatru. Jestem jego zakładnikiem i więźniem. Zarówno teatru Polonia, jak i Och-Teatru. Te dwie sceny wymagają mojej stałej obecności, i to przez cały rok. Nie mogę wyjechać. A te wszystkie propozycje filmowe wiążą się z wyjazdem z Polski na co najmniej dwa miesiące. Na to nie mogę sobie pozwolić.

Tak wyglądają skutki prawdziwej miłości do teatru.

Tu nie chodzi tylko o miłość do teatru. Ale zbyt dużo czasu, pieniędzy i emocji włożyłam w te sceny, żeby sobie teraz pojechać i grać w jakimś niemieckim filmie (*Śmiech*). Trudno, będą musieli poradzić sobie beze mnie.